

GDZIEŚ POZA ROZUMEM

– Powiedz mi, Hadrien, jak to jest być skazanym na sukces? Każda twoja książka to bestseller. Jakie to uczucie? – zapytała Cherissa Mayfield, moja korektorka. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby spodziewała się usłyszeć prawdziwą rewelację.

Uczucie musiało być wspaniałe, rzecz w tym, że nie umiałem się nim cieszyć, bo miałem wrażenie, że sukces nie w całości zawdzięczam sobie. Oczywiście pracowałem ciężko. Byłem wykwalifikowanym rzemieślnikiem i do pisania podchodziłem z żelazną dyscypliną. Znałem jednak pisarzy bardziej utalentowanych od siebie, którzy nie zdołali przebić się na rynku. Nie byłem zawzięty, nie dobijałem się do wydawnictw i nie dołożyłem grosza do żadnej ze swoich książek. Właściwie sukces sam zapukał do mych drzwi i zastanawiałem się, czy ich nie pomylił.

– Prawdę mówiąc, czuję się dziwnie – odpowiedziałem. – Zamiast się cieszyć, boję się, czy kolejna powieść nie okaże się klapą.

– Niemożliwe! O twoim pisaniu decydują talent i umiejętności. Nikt ci tego nie zabierze. Dopóki będziesz pisał, będziesz sprzedawał. Ludzie, którzy tutaj przyszli po twój autograf, są na to dowodem.

– Mogę mieć spadek formy albo wypalić się.

– Wtedy napiszesz instrukcję obsługi pralki i to dopiero będzie bestseller! Instrukcja autorstwa Hadriena Watterlosa, trzykrotnego laureata prestiżowej nagrody Luma. Ośmiokrotnie nominowanego i sześciokrotnie nagrodzonego wyróżnieniem im. Alberto Casty. Najchętniej kupowanego autora ostatnich lat!

Musiałem czym prędzej zmienić temat. Na szczęście właśnie przeszedł obok nas kelner, więc skorzystałem z okazji i odłożyłem talerz z niedokończonym czymś, co przypominało faszerowaną pieczarkę, ale tak nie smakowało. I skoro pozostałem z pustymi rękami, nie zostało nic innego, jak zadać zasadnicze pytanie.

– Idziemy do mnie? Mam dość wielbicieli.

– A warto? Uzupełniłeś barek o coś godnego mojego podniebienia?

– Nie rozczarujesz się.

Ogród sztuki, w którym już bez mnie trwała premiera mojej najnowszej książki, znajdował się jakieś trzy kilometry od mojego mieszkania, ale Cherissa uparła się, żebym odwołał taksówkę i żebyśmy poszli pieszo.

Było chłodno, jak na październikowy wieczór przystało, a w powietrzu unosił się zapach wilgoci po popołudniowej ulewie. Mijając kałużę, Cherissa zbliżyła się do mnie, a jej chłodna dłoń otarła się o moją. Spojrzałem na nią ukradkiem. Była prześliczna – długie rude włosy opadały gęstymi falami na ramiona, granatowe oczy o lekko skośnych kącikach i maleńki, uroczo zadarty nos, nosek. Drobne usta miała zawsze lekko uchylone, w pełnej gotowości, aby zadać kolejne pytanie. Nie mogłem jej nie pragnąć.

– Rasputin ucieszy się na twój widok – powiedziałem.

– Twój kot mnie nie lubi.

– Nie lubi cię mniej niż innych. To wyróżnienie.

Mieszkanie, do którego przeprowadziłem się niedawno, miało wyższy standard od tego, w którym kwaterowałem wcześniej, ale nadal było skromne. Składało się z wąskiego przedpokoju, małego salonu, który służył mi również za gabinet, sypialni oraz kuchni i łazienki. Było świeżo pomalowane na ciepły, żółty kolor, na tle którego nawet moje stare meble prezentowały się przyzwoicie. Fakt, byłem oszczędny i było to widać, bo gdy odwiedzałem biura nieruchomości w poszukiwaniu nowego lokum, agenci witali mnie spojrzeniem pod tytułem: „Małych mieszkań nie mamy w ofercie”.

Przy drzwiach czekał Rasputin. Pręgowany kocur siedział w rozkroku godnym starego rozpustnika. Gdy zobaczył Cherissę, mrugnął i mocno uderzył ogonem w parkiet.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – powiedziała, omijając go pod ścianą.

Salon był tak mały, że bez względu na to, w jakim układzie siedzieliśmy, byliśmy blisko siebie. Uśmiechając się do tej myśli, rozlałem ormiańskie brandy i podałem kieliszek Cherissie. Powąchała i westchnęła z uznaniem.

– Jak ci idzie praca nad nową powieścią? – zapytała.

– Nie zacząłem. Jestem wykończony promocją.

– Kiedy będę mogła coś przeczytać?

Jej twarz promieniała z ciekawości.

– Jak następnym razem do mnie przyjdiesz.

– Jutro?

– Skazujesz mnie na bezsenną noc.

Roześmiała się i przecesała dłonią włosy. Lubilem na to patrzeć, a ona na szczęście robiła to często, jakby każde zdanie burzyło jej fryzurę. W jej obecności zapomniałem o wszystkim. Niestety zawsze, kiedy byliśmy tuż-tuż od przekroczenia granic, Cherissa musiała iść. Tak stało się i tym razem. Nim zegar wybił dwunastą, już jej nie było. Pozostawiła po sobie kieliszek z odbitą szminką i zapach jaśminu.

Kiedy siadam do pisania nowej książki, najpierw wymyślam imiona i nazwiska bohaterów. Nie wiedząc jeszcze, kto będzie kim i jak potoczą się ich losy. Po lewej stronie kartki wypisuję imiona, a po prawej nazwiska. Potem łączę je w pary, kierując się ciekawym brzmieniem. Właśnie powołałem do życia Neda Hamiltona, gdy pilnie zapragnąłem zrobić sobie przerwę na czytanie. Zabrałem ze stolika czasopismo naukowe i udałem się do łazienki. Rasputin przyszedł za mną i wyłożył się na dywaniku przed wanną. Chwilę przewracał się z boku na bok i wymachiwał łapami, a gdy nie zareagowałem na te zaczepki, przestał i zastygł wczepiony pazurami w moją nogawkę. Akurat zaczynałem artykuł o planecie, na której odnaleziono ślady dawnego życia, gdy kocur wskoczył na pralkę i przyczaił się, wpatrzony w okno. I ja tam popatrzyłem ciekawo tego, co go tak zainteresowało, zwykle bowiem nie podejmowałem zbędnego wysiłku. Patrzyłem pod światło, ale widziałem wyraźnie. Na parapecie siedział pomarańczowy gołąb. Opuściłem swoje stanowisko, żeby mu się lepiej przyjrzeć, ale gdy zbliżałem się do szyby, zza mnie wyskoczył Rasputin i spłoszył ptaka, który wzleciał ponad dach sąsiedniej kamienicy, a potem zniknął pomiędzy obłokami.

Zadowolony z siebie kot opuścił łazienkę, a ja usiadłem na wannie. Czas na wyznanie. To nie był pierwszy raz, kiedy widziałem tego gołębia. Tuż przed przeprowadzką, gdy pakowałem swój dobytek do pudeł, przechadzał się po balkonie i zaglądał do środka przez uchyloną firankę. Wtedy przyjrzałem mu się dokładnie. Nie miałem wątpliwości, że to był ten sam ptak. Oznaczało to tylko jedno – byłem przepracowany i najwyższy czas udać się do psychiatry po pomoc. Bo owszem, można ukryć wariata pod przykrywką artysty-pisarza, ale Cherissa by się na to nie nabrała.

Gabinet doktora Hariego Roshana znajdował się w sąsiedniej dzielnicy. Oddalona zaledwie o kilka przecznic, różniła się znacznie architekturą i atmosferą od rozwijającej się, dynamicznej i kolorowej okolicy placu Belle Epoque, przy którym mieszkałem. Byłem zaskoczony tym, jak wielu tu było smutnych, posępnych ludzi, snujących się jakby bez celu i bez znaczenia. Wydawało się, że nikt tutaj dawno nie zaznał radości życia.

Była to podupadła dzielnica: wiele kamienic się zawaliło i tak zostało, a te, których stan pozwalał na zamieszkanie, były co najwyżej w stanie rozsypki. W pojedynczych oknach widać było firanki czy kwiatki, nadające złudzenie normalności. Ulice były wąskie i zapyziałe.

Nie była to najwspanialsza część miasta i spodziewałem się, że gabinet będzie obskurny i nieuczęszczany, przynajmniej przez ludzi, których mogłem znać. Jednak dla zachowania

najwyższej ostrożności umówiłem się pod fałszywym nazwiskiem na najpóźniejszą godzinę i jeszcze się spóźniłem, żeby nie minąć się w drzwiach z innym pacjentem.

– Hadrien Watterlos w moich progach!

Doktor Hari Roshan miał około siedemdziesięciu lat. Był wysoki i mocnej budowy. Od razu pomyślałem, że w młodości dobrze się odżywił i uprawiał dużo sportu. Roshan miał smagłą cerę i białe, krótko ostrzyżone włosy oraz brodę, już nie tak białą, a pożółkłą od papierosów. Czoło pionowo przecinała gruba, głęboka zmarszczka. Oczy miał tak małe, że ciężko było dostrzec, jakiego są koloru.

– Zapraszam do gabinetu – powiedział, wchodząc tam pierwszy. – Po co te ceregiele z innym nazwiskiem? Zresztą nieważne, rozumiem. Możemy mówić sobie po imieniu? – zapytał i nie czekając na odpowiedź mówił dalej. – Czytałem twoją ostatnią książkę „Godzina przed świtem”. Doskonała: pokręcona i mocna.

– Dziękuję.

– Siadaj, proszę. – Sam usiadł za biurkiem i wskazał mi krzesło po drugiej stronie. – Jak mogę ci pomóc?

– Jestem przepracowany, zmęczony i mam zwidy.

Kiwnął głową, ale nie skomentował.

– Zabieram się za kolejną powieść, muszę być w formie – dodałem.

– Co widzisz?

Łatwiej byłoby mi to napisać, niż powiedzieć. Bez trudu potrafię cyzelować tekst, ale już gorzej mi idzie na gorąco dobierać słowa do rozmowy.

– Co widzisz? – powtórzył, poprawiając na nadgarstku bransoletkę z drewnianych koralików.

– Mów śmiało, wierz mi, w tym miejscu nie będziesz oryginalny.

– Widziałem pomarańczowego gołębia. Dwa razy na przestrzeni ostatnich trzech miesięcy, w dwóch różnych miejscach. Mało tego, wydawało mi się również, że mój kot go widział.

Roshan się uśmiechnął, a zaraz potem roześmiał, co mnie zdziwiło, wobec jego wcześniejszych zapewnień.

– To nie zwidy – powiedział odchylając się na krześle. – Naprawdę widziałeś pomarańczowego gołębia.

– Nie ma pomarańczowych gołębi.

– Być może nie spodoba ci się to, co teraz powiem. Być może będziesz miał mi za złe i pożałujesz, że tu przyszedłeś, ale muszę ci to powiedzieć. Każdy, kto wie, musi komuś powiedzieć.

– Powiedzieć co?

- To była Jael.
- Jaka Jael? Kim jest i co ma wspólnego ze mną?
- Jael nie jest, Jael bywa. Czym chce i kiedy chce. Dziś może być pomarańczowym gołębiem, jutro może być piękną kobietą. Jael to wszechmocne istnienie. Żyjemy w świecie przez nią wymarzoną. Trwamy tylko w jej wyobraźni. Ty, ja i wszystko wokół.
- Mówił od rzeczy i powinienem był natychmiast wyjść, ale jednocześnie zaciekał mnie. Przemówił do mojej wyobraźni i chciałem wiedzieć więcej.
- Jesteśmy jej marzeniami w różnym stadium rozwoju – mówił dalej. – Są marzenia żywe i te porzucone, zapomniane. Zastanów się. Nie masz poczucia, że twój los nie zależy w pełni od ciebie? Że wszystko spada ci z nieba lub przeciwnie, spada ci na głowę?
- Chcesz powiedzieć, że moja egzystencja jest złudna?
- Nie. Ty istniejesz, ale jako bezwolna forma. Jesteś tym, co Jael marzy. I sądząc po tym, co dzieje się w twoim życiu, jesteś na fali. Też kiedyś byłem jej żywym marzeniem. Rozwijałem się, odnosiłem sukcesy, byłem bogaty. Ale przeminąłem, jak każde spełnione marzenie. Widziałeś te ulice, domy? Tych ludzi? To dzielnica zapomnienia – nirwana wyrzutków.
- Skąd o tym wiesz?
- Od sąsiada. My, marzenia, musimy się trzymać razem.
- Dlaczego tego nie rozgłosisz?
- Bo nie wiem, co by zrobiła Jael. A jak się wkurzy i opuści wszystko i wszystkich? Nie chcę tego. Nie chodzi o mnie, ja z przyjemnością bym już zniknął, co mi po takim istnieniu? Ale Jael jest zbyt okrutna. Ona nie zabija swoich marzeń, ona je porzuca.
- Dlaczego nie zabija?
- Nie wiem. Czasem upychamy stare graty na strychu, nigdy nie zamierzając ich użyć, ale nie potrafimy się ich pozbyć. Pewnie tak samo, jak Jael marzeń.
- Jak to działa?
- Jael coś sobie wymarzyła. Jesteś tego częścią. Musisz być już blisko spełnienia, bo Jael cię podgląda. Nie zawsze to robi i rzadko kiedy wymyśla sobie dziwaczną formę, która zwraca uwagę. Ale czasem ją ponosi. Zmaterializuje się zbyt prowokująco. Ludzie myślą, że wariują, a tymczasem to ona miesza im w głowach. Teraz sprawdza, czy wszystko idzie zgodnie z jej planem, pilnuje. Pewnie wkrótce spotkasz ją na swojej drodze i gdy odegrasz swoją rolę, przeminiesz.
- Tak po prostu?
- Szybko się nudzi.

Roshan dotarł do moich wątpliwości i obaw. Moje poczucie bezwładności wobec losu, przypadku, rychłej klęski miało przerażający sens.

– Dlaczego mi to powiedziałeś?

– Nie będę kłamał, że jesteś chory psychicznie. Dostrzegam w tobie wrażliwość, która może tę prawdę ogarnąć. Nie powinieneś żyć w niewiedzy. Nie chcę, żebyś za parę lat obwinił się, że twoje książki się nie sprzedają, bo twój talent przeminął. To nie będzie twoja wina, tak jak nie jest twoją zasługą, że teraz odnosisz sukces.

Poczułem, że oblewa mnie pot i trzęsą mi się ręce. Lęk zaczął mnie dusić i dławić.

– Żegnam – powiedziałem ostatnim tchem i wyszedłem trzaskając drzwiami. Nie usłyszałem już, co krzyczał za mną Roshan. Szedłem szybko, a potem chód zamienił się w trucht, wreszcie w bieg, żeby tylko jak najszybciej uciec z tego miejsca.

W moim mieszkaniu wszystko było na swoim miejscu. Sprzyjało to powrotowi do normalności, ale w głowie nie miałem podobnego porządku. Mełłem słowa Roshana – odtwarzałem je w kółko i analizowałem, nawet nad kubłem na śmieci. Wraz ze stertą innych rupieci, wyrzucałem przeczytane już czasopismo, otwarte na artykule o planecie, na której odkryto ślady życia. Czy to Jael porzuca jeden świat za drugim? Czy taki był los naszego świata? Czy taki był mój los? Nagle wszystko w moim życiu zaczęło się chrzanić. Wszędzie węszyłem wpływ Jael i jej destrukcyjne intencje. O ile dawniej podejrzewałem, że nie wszystko sobie zawdzięczam, teraz byłem tego pewien. Nie potrafiłem się nawet wysikać z poczuciem własnej woli. I jeszcze bardziej drżałem z obawy przed upadkiem. Nie mogłem ogarnąć myśli. W końcu, po kilku dniach męczarni, umówiłem się z Roshanem.

Przywitał mnie z sympatią i zrozumieniem. Nie wspomniał nawet o nieuregulowanym rachunku za poprzednią wizytę.

– Jak mogę się z nią skontaktować? – zapytałem.

– Z Jael? Dlaczego chcesz się z nią skontaktować?

– Nie zgadzam się na porzucenie.

– Nie masz wyboru. Nic nie zależy od ciebie.

– Nie wierzę. Chcę sobie zapewnić wieczną pomyślność.

– A ona miałaby spełnić twoje życzenie?

– Nie wiem. Chcę z nią porozmawiać.

– Nie słyszałem o marzeniu, które chciało nawiązać z nią kontakt, ale jak chcesz, to rozmawiaj.

– Jak?

– Zwyczajnie: mów do niej. Jesteś jej marzeniem, prędzej czy później cię usłyszy, chociaż wątpię, żeby ją to wzruszyło.

– Co mam mówić?

– To, co chcesz. Nie istnieje kanon modlitwy. Może to nie głupi pomysł. Jeżeli będziesz ją nękać, to gotowa zareagować.

– Zapiszesz mi coś na pobudzenie? Jakiś dopalacz, który by mnie na nogach utrzymał przez tydzień.

Czy to nie zabawne? Poszedłem do psychiatry, bo myślałem, że mam urojenia, a wyszedłem, mówiąc do wszechmocnego istnienia. Mówiłem w myślach, mówiłem głośno. Wzywałem, błagałem, wygrażałem. Wspiąłem się na wyżyny obelżywego słowotwórstwa. Dzień i noc mamrotałem, bezustannie. Mijała doba za dobą i nic się działo. Czwartego dnia dodałem sobie mocy audiowizualnej. Przygotowałem apel w formie płyty i filmu i odtwarzałem w kółko. Jael uparcie milczała. Piątego dnia o poranku, pochylony nad biurkiem, przysypiałem. Słowa zamieniły się w bełkot, a obraz przed oczami poszarzał i zawirował. Ostatkiem sił podszedłem do drzwi, żeby sprawdzić, co za natręt się do nich dobija.

Stała w nich piękna kobieta. Bardzo wysoka i szczupła. Czarne, ciasno splecione warkocze sięgały zgrabnej talii. Posępnie blada twarz i podkrążone oczy tylko podkreślały jej klasyczne, ostre rysy. Miała kusą, białą czarną bluzkę w geometryczne wzory, która ledwie zasłaniała piersi i krótkie spodenki z brązowej skóry, z wysokim stanem. Na nogach miała sandały. Obwieszona była ciężką, srebrną biżuterią. Do kompletu brakowało tylko łuku i składanego wigwamu.

– Jak marzenie śmie mnie męczyć? – powiedziała podniesionym głosem, któremu jednak daleko było do przekupczego krzyku.

– Będę cię męczyć dopóki...

– Dopóki co? Marzenie mi grozi? Stawia warunki?

– Żebyś wiedziała! Nie poddam się tak łatwo.

Chwilę na mnie patrzyła. Z ciekawości, być może z niedowierzania przechyliła głowę.

– Przyjdzie do mnie popołudniu – powiedziała w końcu. – Nie będzie z marzeniem rozmawiać w tej norze.

– Dlaczego dopiero popołudniu? Pstryknij palcami i przenieś nas w bardziej odpowiednie miejsce teraz!

– Marzenie nie dyskutuje. Przyjdzie popołudniu.

– Gdzie?

– Na Aleję Tulipanów jeden – powiedziała i odeszła zwyczajnie, po schodach. Nie zniknęła, nie odleciała.

Natychmiast udałem się do Roshana zrelacjonować mu wizytę Jael i przygotować się do spotkania.

– Nie do wiary – powiedział. – W jakiej przyszła postaci?

– Bardzo pięknej kobiety.

– Myślała, że marzenia ma w niewoli.

– Pewnie nie podejrzewała, że któreś może się zbuntować i zawalczyć o siebie.

– Jak u niej będziesz, zachowaj spokój. Jeżeli uda ci się nakłonić ją, żeby spełniła twoje życzenie, to świetnie, ale jeżeli nie, to nie wpadaj w gniew, nie panikuj. Twoim celem będzie dowiedzieć się jak najwięcej. Jak każda istota, musi mieć słaby punkt, na który będzie można ją złapać.

– Według mnie ona nie marzy spontanicznie. Mogła to dzisiaj zrobić, ale nie zrobiła. Wydaje mi się, że nie dlatego, że nie chciała, ale dlatego, że nie mogła. Muszę się dowiedzieć, w jaki sposób spełnia swoje marzenia.

Roshan poklepał mnie po plecach i życzył powodzenia.

Jael poważnie traktowała status marzycielki. Mieszkała w domu pełnym przepychu. Piętrowa willa z czerwonej cegły pyszniła się wśród gęstych cisów. W październiku tulipany nie kwitły, ale z łatwością wyobraziłem sobie pole żółtych kwiatów otaczających rezydencję.

Wszedłem na portyk i uderzyłem kołatką w drzwi, a echo odpowiedziało po drugiej stronie. Popatrzyłem w okno na parterze, ale było zasłonięte firanką i odbijało zniekształcony pejzaż ogrodu. Już miałem uderzyć drugi raz, gdy klamka poruszyła się i w drzwiach stanęła Jael. Przebrała się po domowemu – w bordowy koc przepasany czarnym, skórzanym paskiem. Rozpuściła włosy, zdjęła biżuterię i sandały.

– Marzenie wejdzie – powiedziała.

Wielki hol kończył się szeroką klatką schodową pokrytą fioletowym dywanem. Na bocznej ścianie wisiało lustro w prostej ramie. Czy przymierzała w nim swoje wcielenia?

Jael nie pozwoliła mi się długo rozglądać.

– Pójdzie za mną – powiedziała.

Weszliśmy do przestronnego salonu urządzonego ascetycznie, choć efektownie. Szare i żółte romby na suficie przełamywały biel ścian. Przed kominkiem z czarnego marmuru stał drewniany stolik.

– Marzenie usiądzie – powiedziała, wskazując sznurkowany taboret. Sama usiadła na czarnej, skórzanej kanapie, naprzeciwko mnie.

– Czemu mnie nęka i prześladowa? – zapytała. – Czego ode mnie chce?

– Chcę, żebyś mnie uwolniła.

Jael mrugnęła, ale się nie odezwała.

– Chcę sam decydować o swoim losie – dodałem.

– To niemożliwe.

– W takim razie chcę, żebyś zapewniła mi wieczną pomyślność. I chcę mieć wpływ na to, jak się ukształtuje.

– Nie negocjuje z marzeniami.

– Co ty sobie wyobrazasz? Że można marzyć bez konsekwencji? Trzeba brać odpowiedzialność za swoje marzenia.

– Jael nie musi się tłumaczyć.

– Miejże litość. To wszystko... my... jesteśmy twoimi marzeniami. Powinnaś dbać o nas, pielęgnować, rozwijać.

Wzięłem głęboki oddech i położyłem spocone dłonie na kolanach. Nie mogłem tego spalić.

– Jak możesz tak istnieć? – zapytałem.

– Dość! Jestem gotowa spełnić życzenie, ale mam warunki. Po pierwsze, nikt się o tym nie dowie, nie chcę tu żadnych innych marzeń. A po drugie, nigdy więcej nie będzie szukało ze mną kontaktu. To, co dzisiaj ustalimy, będzie obowiązywało ostatecznie.

– Dobrze.

– Poczekaj tutaj – powiedziała i wyszła z pokoju, zamykając drzwi.

Podskoczyłem na taborecie z wrażenia. A potem podbiegłem do drzwi i popatrzyłem przez dziurkę od klucza. Jael zniknęła za klatką schodową, a po chwili wyszła, niosąc w rękach teczkę i pióro. Pospiesznie wróciłem na swoje miejsce i założyłem nogę na nogę. Wróciła i usiadła na kanapie, położyła teczkę i pióro na stoliku. Odwiązała sznurek i otworzyła. Było tam kilka zapisanych odręcznie kartek, gdzieś tam pokreślonych. Mruknęła coś pod nosem i wyciągnęła ostatnią kartkę. Przekreśliła końcowe zdanie.

– Czego marzenie chce? – zapytała.

– Mogę najpierw zobaczyć, co dla mnie zaplanowałaś?

– Nie, to nie ma znaczenia. Będzie, jak zechce, i tylko to powinno marzenie interesować.

– Chcę żyć szczęśliwie.

– Konkretnie.

– Być najbardziej poczytnym pisarzem do końca swoich dni. Chcę być bogaty.

- Już jest bogate.
- Bogatszy. Chcę się ożenić z Cherissą Mayfield i mieć dwójkę dzieci: syna i córkę.
- Wystarczy.
- Jak to?
- Będzie miało rodzinę i będzie bogate. Wszystko inne sobie kupi.

Miała rację. Dopisała kilka słów starannym pismem, czym wprawiła mnie w osłupienie i zachwył. Była pisarzem! W taki sposób materializowała swoje marzenia – musiała je zapisać, inaczej nic się nie działo. Ależ to dziecinnie proste i piękne! Chciałem jej zadać mnóstwo pytań, porozmawiać jak pisarz z pisarzem.

- Marzenie idzie już – powiedziała. – Muszę odpocząć.
- Ale...
- Niech idzie i dotrzyma obietnicy.
- Proszę...
- Idzie teraz – powiedziała i wyprosiła mnie z domu, trzaskając drzwiami.

Nie mogłem się dziwić. Zmusiłem ją do precedensu i musiała się z tym źle czuć. Jael pisarzem, to dopiero!

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Gdy tylko wyszedłem na drogę, pomyślałem, że jednak chciałbym mieć trójkę dzieci: syna i dwie córki. A potem przypomniało mi się, że chciałbym latać szybowcem, ale się boję. Zawróciłem, choć nie wiedziałem, co miałbym zrobić. Jael nie zgodzi się w nieskończoność dopisywać moje pomysły. Kazała mi iść precz i nie chciałem jej rozgniewać, bo gotowa jeszcze wszystko przekreślić. Najlepiej, gdybym miał swoją teczkę i mógł na bieżąco zmieniać tekst. Mogło się nie udać. Pisarz nie powinien mieszać innemu pisarzowi w tekście. Chciałem jednak spróbować.

Z-a-k-r-a-d-ł-e-m się pod dom i znalazłem boczne wejście do kuchni. Drzwi były otwarte, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że podjąłem właściwą decyzję i los mi sprzyja. Jael z pewnością już spała, więc śmiało, choć ostrożnie wszedłem do środka. Poczulem się jak bohater amerykańskiego filmu sensacyjnego. Wiecie, jakie obowiązują w nim zasady? Szefem policji jest zawsze Murzyn. Detektyw rozwiązuje śledztwo dopiero, kiedy zostaje zwolniony. W każdym zakupach jest bagietka. A zejście do piwnicy jest zawsze naprzeciw kuchni.

Zbiegłem krętymi schodami, minąłem łazienkę gospodarczą i stanąłem przed świeżo pomalowanymi, jeszcze pachnącymi farbą, białymi drzwiami. Otworzyłem je powoli i stanąłem w wytwórni marzeń, doświetlonej wyłącznie dwoma niewielkimi oknami

wychodzącymi na ogród. Z mroku wyłoniły się regały, na których piętrzyły się teczki: miały grzbiety z tkaniny, plastiku, nawet metalu. Były zeszyty zszywane i w twardej oprawie, luźne kartki związane sznurkiem i zaplombowane rejestry. Sterty marzeń.

Popatrzyłem na pierwszy regał z brzegu i zrozumiałem, że odnalezienie moich akt będzie wyzwaniem. Jael miała bałagan w marzeniach. Szukałem reguły archiwizacji, ale jeżeli taka w ogóle kiedyś była, została zaniedbana. Porządek alfabetyczny mieszał się z chronologicznym. Niektóre marzenia opatrzone były imieniem i nazwiskiem, inne datą.

Szukałem zawzięcie, wodząc wzrokiem po nagłówkach. Mrużyłem oczy i marszczyłem nos, gdy z teczek podrywały się chmury kurzu. Nawdychałem się tyle pyłu, że w końcu poczułem świdrujący ból głowy. Łapiąc równowagę, oparłem się o stolik, na którym leżało kilka teczek, w tymteczka Hadriena Watterlosa – moja. Zmarnowałem półtorej godziny, podczas gdy mój los leżał wprost pod moim nosem. Odwiązałem sznurek, gdy z parteru dobiegł odgłos otwieranego okna. Uchyliłem drzwi, nasłuchując kroków, które zbliżały się do schodów. Nie mogłem teraz wypuścić losu z rąk. Zawiązałem teczkę i przemknąłem się do łazienki. Popatrzyłem na małe okno nad klozetem i pożałowałem ciastek, które zjadłem przed wyjściem. Stałem na klapie, która zaskrzypiała z wysiłku, i otworzyłem okno. Wyrzuciłem teczkę na trawnik, chwyciłem za parapet i podciągnąłem się niezgrabnie. Przecisnąwszy się przez ciasny otwór, z pasem opartym na parapecie i zwisającymi nogami, zdałem sobie sprawę, że przede mną prawdziwa próba sił – długa przez ogród. Wypełzłem na trawnik jak padalec, manewrując to w lewo, to w prawo, żeby nie zostawić nogawek na framudze. Potem stanąłem do pionu. Zagajnik, który przed chwilą wydawał się być tuż przy domu, nagle był bardzo daleko. Nic jednak nie mogło mnie zatrzymać.

Muszę to przyznać, choć nigdy jej tego nie powiedziałem – Jael miała talent literacki. Marzenia spisywała subtelnie, wyrażając emocje, a nawet zdradzając poczucie humoru. Nie zdawała sobie tylko sprawy z tego, że marzenia trzeba drogo okupić. Okradłem ją, ale nie szukała zemsty. Przyjęła rabunek z pokorą niepodobną wszechmocnemu istnieniu.

Moje pióro okazało się skuteczne. Słowa, które dopisywałem w swoich aktach, były piękne i magiczne. Spisany los urzeczywistniał się na moich oczach. Schudłem. Kończyłem książkę, a Cherissa lada dzień miała się do mnie wprowadzić. Musiałem podziękować Roshanowi, więc umówiłem się z nim któregoś popołudnia.

– Jak się masz? – zapytał.

– Doskonale. Mam kontrolę nad własnym życiem.

– Usiądź.

Usiadłem i on usiadł.

– Zawsze ją miałeś – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Twój los zależał od ciebie, choć w to nie wierzyłeś.

– Mój los zależy ode mnie odkąd uwolniłem się od Jael.

– Jael nie istnieje. Nigdy nie istniała.

– Co ty mówisz?

Roshan westchnął.

– Znamy się od dawna. Trafiłeś do mnie po swoim debiucie. Miałeś uporczywe urojenia. Byłeś przekonany, że twój los nie zależy od ciebie. Że sukces to przypadek i na pewno przeminie. Odchodziłeś od zmysłów i nie mogłeś normalnie funkcjonować. Twoja narzeczona Cherissa Mayfield przyprowadziła cię do mnie.

Roshan wziął do ręki zdjęcie, które leżało odwrócone na biurku i położył przede mną. Na tle willi przy Alei Tulipanów stałem ja, o wiele młodszy. Cherissa przytulona do mnie, uśmiechała się promiennie. Obok stał Roshan.

– Próbowałem różnych metod, ale model zawsze był ten sam – powiedział. – Łagodziłem twój stan, a po jakimś czasie następował regres i za każdym razem pisałeś doskonałą książkę. Wszystkie to zapisy twoich urojeń. Jakby szaleństwo uruchamiało w tobie geniusz.

– Dlaczego nic nie pamiętam?

– Nie masz prawa pamiętać. Każdy nawrót choroby kończył się terapią wstrząsową, która powoduje zaburzenia pamięci, a nawet jej całkowity zanik. Jedno, co zawsze pamiętałeś, to swoje dokonania pisarskie. Są dla ciebie najważniejsze.

– A Cherissa?

– Cherissa cię kocha, ale jest zmęczona. Po ostatnim regresie obiecałem jej, że wymyślę rewolucyjną metodę leczenia. Nie podawałem ci leków. Wymyśliłem Jael, która uosabiała twoje lęki. Miałem nadzieję, że ją znienawidzisz i zechcesz się od niej uwolnić. Wszystko miało swój scenariusz, aktorów, rekwizyty. Twoje działania były prowokowane.

– A mój obecny los? Przecież go kształtuję.

– Jak każdy zdrowy, zdeterminowany człowiek. Zakładasz cel, spisujesz i dążysz do jego realizacji.

– Mogę wszystko?

– Tylko strach przed porażką może unicestwić twoje zamiary.

– Co teraz?

– To zależy od ciebie. Czekają cię pomyślne życie u boku wspaniałej kobiety lub...

- Zamkną mnie i zamienią w naćpanego ducha.
- Nie możesz dłużej żyć w wymyślonym, wrogim świecie, gdzieś poza rozumem – Roshan wstał i podał mi dłoń na pożegnanie. – Nie wracaj tu.

Powinienem być biec do domu w podskokach, trzymając w rękach swój los, ale szedłem powoli, coraz wolniej, aż zatrzymałem się przy zacienionym skwerku. Co było dla mnie lepsze: zaakceptować rzeczywistość i wieść radosne życie czy poddać się szaleństwu i pisać wybitne książki? Czy potrafiłem tworzyć, nie będąc pod wpływem paranoi? Usiadłem na ławce, na której ktoś zostawił pomiętą gazetę i ogryzek. Wzrok zatrzymałem na rozłożystym klonie, w którego liściach zamigotało pomarańczowo. Jedna z gałęzi poruszyła się i na jej czubek ostrożnie wyszedł znajomy gołąb. Wyprostował się i przysiadł, a potem sfrunął i zaczął wydziobywać okruszki spomiędzy krótko przystryżonej trawy.